

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

O Jezu!

O Jezu, jakąż bolesna tęsknota
Zamracza duszę, gdy od Ciebie stroni;
Jakież niepokój biednem sercem miota,
Gdy za stworzeniem czezą miłością goni!

Ja żyłem krótko w szczęścia urojeniu,
Świat rozpromieniał mej duszy źrenicę:
Ale przy pierwszym bolesnem westchnieniu
Pojąłem całą życia tajemnicę.

Wtenczas me serce, jakby lodem ścięte,
Ach, po raz pierwszy prawdą zapłakało,
Gdy szczęście srogo na krzyżu rozpięte,
W cierniowym wianku, skrwawione ujrzało.

Jeśli mnie godnym, o Jezu, osądzisz,
Bym dźwigał ciężki krzyż za Tobą, Panie,
Ja zbłądzić mogę, Ty nigdy nie zbłądzisz,
Jako rozkażesz, tak niechaj się stanie.

W pokorze serca, w cichości, w milczeniu
Pójdę za Tobą przez głogi i ciernie;
Przy Tobie ulgę znajdę w mem cierpieniu,
Za Tobą dźwigać będę krzyż mój wiernie.

Wiem, że mnie dobrą drogą poprowadzisz,
Obdarzysz serce miłości pokojem;
Że nie opuścisz, wiem, że mnie nie zdradzisz,
Bo jesteś Ojcem, a ja dzieckiem Twojem.

A jeśli szczęściem rozpromienisz czoło,
I szczęście przyjmę, jako dar z Twej ręki;
Wszędzie i zawsze, tęskno i wesoło,
Będę Ci szczerze składał serca dzięki.

Kto Tobie ufa, nigdy nie zaginie,
Kto z Tobą idzie, z Tobą się połączy,
I iżę ostatnią w ostatniej godzinie
Na sercu Twojem jak dziecko wysączy.

Ks. Antoniewicz.



Z życia Jasia.

(Ciąg dalszy.)

— Czas wracać do domu — rzekł pan Kaliński — boję się, żeby się Jasio nie zaziębił.

I pomimo zapewnień chłopca, że mu jest ciepło, zaczął jego opiekun postanowił wracać do hotelu.

Jaś podczas wieczery z wielkiem ożywieniem opowiadał o dzisiejszej zabawie, a gdy się położył do łóżka i przymknął oczy, zdawało mu się, że widzi mnóstwem świateł przystrojony okręt.

Jasio jeszcze nigdy nie widział, aby pan Kaliński z takim zajęciem czytywał gazety, jak obecnie. Kupował codziennie zrana mnóstwo dzienników i oprócz tego codziennie po południu chodził wraz z Jasiem do czytelnicy, gdzie można było znaleźć bardzo wiele pism w rozmaitych językach. Chłopczyk zauważył, że pan Kaliński poszukiwał wieści z Ameryki, prztem był smutnym zawsze.

Chłopczyk widząc smutek swego opiekuna, chciał go kilkakrotnie zapytać o przyczynę, lecz powstrzymywała go jakaś dziwna nieśmiałość.

Wreszcie jednego dnia wieczorem, gdy wrócili do hotelu, a pan Kaliński wydawał się smutniejszym niż zwykle, Jaś zbliżył się do niego i zarzucając mu ręce na szyję, zapytał:

— Mój złoty, dobry panie, co panu się stało? Kiedy pan smutny, to i mnie się na płacz zbiera.

Pan Kaliński uściśnął dobrego chłopczyka i uśmiechając się, odpowiedział:

— Nie będę tał przed tobą, mój Jasiu, że w istocie mam wielką troskę na sercu, ale mam w Bogu nadzieję, że wszystko dobrze się ułoży. Nie martwie się zatem, już i ja teraz będę lepszej myśli, pocieszyleś mnie twojem przywiązaniem.

Pan Kaliński porozmawiał jeszcze weselej z Jasiem i zapowiedział, że jutro zrana pójda na wybrzeże, aby popłynąć na spacer łodzią. Jaś bardzo się ucieszył z tego projektu i z tego, że jak mu się zdawało, rozweselił trochę pana Kalińskiego.

Nazajutrz zrana, aby uniknąć upału, pan Kaliński z Jasiem udał się na wybrzeże i wynajawszy łódź, wsiadł w nią wraz z chłopcem i odbił od brzegu.

— Będziemy się zarazem cieszyli widokiem morza i wybrzeży — rzekł pocziwy opiekun do swego wychowanka.

Morze tego dnia było takie spokojne, że przedstawiało się, jak lśniąca, szafirowa tafła szklana, na której powierzchni promienie słońca rozsiewały złociste blaski. Łagodny wietrzyk zlekka ochładzał powietrze. Jaś był zachwycony wycieczką; przypatrywał się rozrzuconym na

wybrzeżu chatom rybackim, przed którymi porozciągane były siecie; to znów łodziom, na których rybacy wypływali na morze, na połów ryb. Gdy łódź przybiła do brzegu, gromadki kobiet i dzieci oczekiwały na nią, radosnymi okrzykami witając zdobycę zawartą w sieciach lub koszach; potem wzrok Jasia zwracał się na świetlaną przestrzeń fal morskich, mieniających się rozmaitymi odcieniami pod wpływem promieni słonecznych.

Pan Kaliński spoglądał z przyjemnością na rumianą twarzyczkę Jasia, na której malowało się zadowolenie.

— Oddaliliśmy się już o dwie godziny od Marsylii — odezwał się w tej chwili przewoźnik — czy pan każe wracać?

— Wolalbym przybić do brzegu — odpowiedział pan Kaliński — ale w takiej miejscowości, gdziebyśmy się mogli czemkolwiek posilić. Powietrze morskie zaostrza apetyt.

— Niedaleko tu ztąd znajduje się chata rybacka, którego znam, tam przygotowują panu chętnie posiłek — odpowiedział przewoźnik. — Chociaż nie wiem, czy będą mogli dać coś więcej nad ryby.

— Będzie to dla nas zupełnie wystarczającym pożywieniem — rzekł pan Kaliński.

Wkrótce łódź przybiła do brzegu, a przewoźnik zaprowadził swych gości do chaty. Dzieci rybaków na widok nieznanych im osób, wsunęły się bojaźliwie w kąt izby, z pod oka spoglądając tylko na nowoprzybyłych.

Pan Kaliński wypowiedział swoje żądanie, a gospodyni obiecała, że ryby przyrządzi prędko i smacznie. Czekając na śniadanie, Jaś starał się ośmielić dzieci, co mu się też udało; najstarszy chłopiec zawarł z nim wkrótce znajomość, i obydwaj poszli zbierać muszle w piasku nadbrzeżnym.

Gdy pan Kaliński zawołał Jasia na śniadanie, chłopczyk przybiegł uradowany ze zdobyczy, którą zdobył nad morzem. Istotnie znalazł kilka ładnych muszli, którymi tak zaraz rozporządził:

— Ta najładniejsza, różowa, to dla pana na biurko — rzekł — druga dla tatusia, a ta, co się mieni jak tęcza, to dla babuni i dziadunia.

Stojąca pod ścianą chaty rybaczka postawiła stół, a na nim pełną miskę smażonych ryb, które i panu Kalińskiemu i Jasiowi bardzo smakowały. Spożywali je, napawając zarazem wzrok cudownym widokiem, jaki się przed nimi roztaczał; po sinawych falach morza Srodiennego przesunęły się parostatki, znacząc swoje przejście smugą dymu, to znów łodzie, powiewające białymi żaglami; stada mew krążyły ponad wodą.

Widok był tak urozmaicony i tak piękny, że można było długie godziny przesiedzieć, w podziwie dla dzieł Stwórcy. Niebawem pan Kaliński podniósł się, mówiąc:

— Czas wracać, mój Jasiu!

Wynagrodziwszy sowicie rybaczkę, pan Kaliński z Jasiem wsiedli do łodzi i popłynęli do Marsylii.

XXIX.

Tego samego dnia wieczorem, gdy pan Kaliński znudzony wycieczką zabierał się do spoczynku, posłaniec przyniósł mu list od kapitana, w którym tenże prosił go, aby jutro zrana przybył do pewnej cukierni. Tam, pisał, spotkamy się z jednym panem, który udzieli nam niejakich wiadomości o panu Drzewińskim.

Niezbyt jasno napisany ten bilecik obudził znowu niepokoje i obawy w sercu pana Kalińskiego. Dlaczego kapitan wyraźniej doń nie pisał? Dla czego bawił się w jakieś omawiania?

Niechcąc jednak trwożyć Jasia, rozpogodził twarz i rzekł:

— Kapitan mnie prosi, abym jutro zrana poszedł z nim w celu załatwienia jakiegoś interesu. Nie mogę mu tego odmówić. Ty, Jasiu, poczekasz na mnie w hotelu, postaram się wrócić jak najspieszniej, śniadanie każe ci podać do naszego pokoju.

Jasio, przyzwyczajony do tego, żeby posłusznie spełniać wolę swego opiekuna, nie nie odpowiedział i wkrótce udał się na spoczynek. Sen pana Kalińskiego nie był spokojny, kilka razy ten szlachetny człowiek budził się w nocy i rozmyślał nad tem, czego się dowie jutro od kapitana.

Nazajutrz wstał wcześniej, tak, że Jasio spał jeszcze i wyszedł, aby się nie spóźnić na umówioną godzinę. W cukierni nie zastał jeszcze kapitana, który nadszedł wkrótce w towarzystwie tegiego, ogorzałego jegomości.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Maciej Zerwikaptur.

Najechali raz Krzyżacy na ziemię polskie. Król Władysław Łokietek, który to niewiele wyrósł ciałem, ale za to wielki był duszą i sercem, zebrał wielkie wojsko, aby od swoich granic odpędzić wroga. Mnóstwo tam było panów i szla-

chty i żołnierzy dzielnych naokoło króla, a za panami, jak zwyczajnie, ciągnęło na wszelakie usługi wielu chłopów, którzy mieli tylko pilnować koni i wozów pańskich i zwali się po dawnemu ciurami. A był między nimi niejaki Maciej, nienydale, co krepki i podsadkowaty, żeby sam na sam i z niedźwiedziem nie bał się pójść w zapasy.

Szedł daleko za wojskiem, a ciągle przyspiewywał.

Pewnego dnia stanęło wojsko w polu, a niebawem król każe trąbić na bitwę. Ledwie był czas zmówić Zdrowaś Marya, a już straszliwy wszczął się krzyk i wrzawa. Nadszła Krzyżacy, a nasi dalej na nich. Ale Krzyżaków siła wielka; nie dają się zrazu, biją się z naszymi. Brzęczą tylko szable i dzidy i okrutny rozlega się hałas. Sprzykrzyło się Maciejowi stać za plecami i nie widzieć nawet, jak tam nasi kropią Niemców. Więc odezwie się do jednego ze swych towarzyszków:

— Hej, Marcinie, potrzymajcie tu mego konia, a ja pójdę się przypatrzeć trochę, jak tam nasi biją Krzyżaków.

Zasadził magierkę na ucho, wás podkręcił na ostro i z gęstą miną posunął się naprzód. Ale, jak to mówią, strzeżonego Pan Bóg strzeże, więc po dredze chwycił berdysz, to jest topór z szerokim ostrzem, który znać jakiś Krzyżak upuścił na ziemię i stanął sobie na boku pod drzewem, aby się rozglądać dokoła. Ledwie jednak rzucił okiem po swoich, aż tu jakiś szajnisty Krzyżak w żelaznej zbroi, z ogromną dzidą, bieży prosto ku niemu, a z boku dwóch innych jeszcze.

Maciej wzruszył ramionami i zawołał zdaleka:

— Wróćcie się, wróćcie się, panie wojak, bo ja nie żaden szlachcic, tylko prosty ciura, a na waszą skórę to szlacheckiej potrzeba ręki.

Ale oni obces na niego, ba, nawet dzidami zmierzają mu wprost do gardła.

Zasłania się Maciej berdyszem, jak może, ale już mu krew zaczyna kipieć w żyłach. Zachmużył czoło i mówi groźnie:

— Ejże, panie Krzyżak, nie zaczepiaj mnie, bo dalibóg, że cię palnę.

Ale oni nie słychają, tylko godzą na niego dzidami. Tego już było za wiele Maćkowi; wpadł w gniew straszny i — jak nie odskoczy w tył, jak nie huknie z całego gardła, a potem jak nie zawinie berdyszem! a one trzy Krzyżaki stoją jeszcze chwilę na nogach... ale ich głowy leżą już na ziemi.

— A widziacie, samiście chcieli, rzekł — pamiętajcie sobie na drugi raz, jak to zaczynać ze mną. A kiedyście mnie już raz rozżołścili, to wam pokażę, gdzie raki zimują! i puścił się za drugimi na Niemców.

Ale nie było już po co, bo ich nasi tymcza-

sem odparli. Uciekali Krzyżacy, a nasi pędzili za nimi i bili uciekających. Nabił się ich i Maciej niemało, aż się zmęczył i zasapał, a potem wolnym krokiem powrócił do swoich koni. Ledwie stanął, aż tu wołają go do króla.

Przestraszył się Maciej na razie i myśli sobie:

— Może król jegomość gniewać się będzie, że mu trochę poturbował tych Krzyżaków, ale — Bóg świadkiem — że ich nie zaczepiał, tylko jeszcze przestrzegł z daleka. Pokręcił więc wąsa, poprawił rzemień w pasie i sunie śmiało do króla.

A król Łokietek w świecącej zbroi stoi na drodze, naokoło niego panów ciżba, a mnóstwo chorągwi Krzyżackich leży mu pod nogami i gromada pojmanej starszyny Krzyżackiej w pokornej postawie czeka na boku.

Przyszedł Maciej między tych to panów, a król odezwał się do niego:

— Toś ty, zuchu, coś za jednym zamachem trzem Krzyżakom uciął głowy?

Widzi Maciej, że król wesół i bardzo łaskawy w twarzy, więc też pokręcił wąsa i rzecze śmiało:

— A dlaczego, proszę króla jegomości, nie słuchali, kiedym ich przestrzegał zdaleka, niech sobie pamiętają na drugi raz!

Krół zaśmiał się łaskawie i panowie zaśmiali się w głos, a Maciej, widząc taką łaskę, dalej prawi:

— Nakłuci ja i innym jeszcze karky — ale to się nie rachuje, proszę króla jegomości, bo już wtedy uciekali.

Na to król przychodzi blisko do Macia i ręką pogłaskał go po brodzie.

— Tyś Mazur? pyta.

— A Mazur, Maciej się nazywam, proszę króla jegomości.

— A gdzieżeś ty się tak rąbać nauczył! pyta król dalej. — Trzy głowy za jednym zamachem, to rzecz nielada.

— Co mi to za głowy! powiada Maciej. — Siedziały tak lekko na karku, jakby przyklepione; ledwom machnął, a opadły jak kaptury od opończy.

Krół znova w śmiech, potem rzecze z powagą i łagodnością:

— Kto tak dzielnie umie kropić wrogów, nie może być prostym ciurą. Od tej chwili jesteś szlachcicem na wieczne czasy, a na pamiątkę będziesz miał trzy głowy na swej pieczęci i będziesz się zwał Zerwikaptur.

Padł Maciej do nóg królowi dziękować za tę łaskę, a król prócz szlachectwa, udarował go jeszcze ziemią szeroką.

Po skończonej wojnie Maciej Zerwikaptur

osiadł we dworze i ciągle tylko prosił Boga, aby mu się rychło trafiła jaka okazja, żeby się mógł wywdziękzyć królowi za te łaski.



ŁAMIGŁÓWKI,

I.

Gdzie wojowali razem i odnieśli wielkie zwycięstwo, największe w naszych dziejach, Polacy, Liwini i Rusini?

II.

Przedmiot z czasu pradawnego z wieku starosłowiańskiego;
Z dwóch wyrazów jest złożony.
Pierwszy wszędzie roztoczony,
Drugi słynął niegdyś w Rzymie.
Całość bózka znaczy imię.
Szukaj go dzisiaj w Krakowie:
Mądrej głowie dość na słowie.

III.

Pierwsze i trzecie
U ludzi silnych znajdziecie.
Trzecie pierwsze w wodzie pływa,
Często zeń potrawa bywa.
Drugie trzecie, gdy śnieg wieje,
Budzi w podróżnym nadzieję.
Całość znaczy króla mężnego,
W dziejach Polski wsławionego.

Rozwiązanie łamigłówek z nr. 15.

I.

Kory — but.

II.

Wiśła.

Dobre rozwiązanie łamigłówek z nr. 15 Anioła Stróża nadesłali: Antonina Wielewska z Rolbicka, Franciszka Gołabiewska z Morainów, Agn. Szypniewska z Pr. Dąbrowki i Stefania Kikut z Staregotargu.